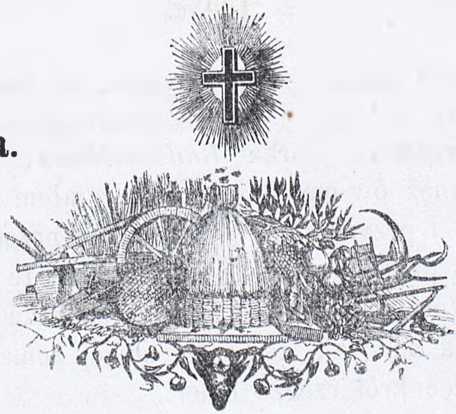
Tom IV. Nr. 11.

11. Kwietnia. 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Zygmunt August i Barbara.

Choć włoszka *Bona* w puchach wychowywała swego syna Augusta, toć przecie sprawdziła się na nim ona gadka ludzka: *jakie drzewo taki klin, jaki ojciec taki syn*, bo w Auguście ostały się cnoty ojcowskie, a tak też byłci on godnym potomkiem wielkich królów polskich!

Młody królewicz, jako że książę litewski, był właśnie na Litwie i to w głównem mieście Wilnie, skoro mu doniesiono, że ojciec jego, król a pan miłościwy umarł. Zasmucił się syn nie mało, ową śmiercią dobrego ojca, aleć wnet ofiarował smutek swój panu Bogu, a sam jął się krzątać koło królestwa, jako że tron i rządy nad całą polską Ziemią spadały teraz na niego. Więc też rozsyła pisma i dworzanów swoich, a zaprasza wszystkich na zamek wileński, kędy go już jako króla i pana powitać mają.

Zjeżdżają się panowie i dworzanie, i wchodzą na pokoje królewskie, a witają pana swego, lecz dziwno im, bo obok króla widzą jakąś nieznaną niewiastę.

Skoro August ujrzał tę ich dziwność na twarzy, tak weźmie oną niewiastę za rękę, i rzecze wskazując na nią:

— Oto *Barbara*, córka *Radziwiłłowa*; była ona żoną Gasztołda, lecz mąż ów umarł, więc ja wziąłem ją teraz za towarzyszkę moją, i przysiągłem jej wierność przed ołtarzem.

Zdziwili się panowie jeszcze bardziej na te słowa królewskie. Wiedzieli oni, że August miał niemiecką księżniczkę za sobą, ale że owa umarła; zaś o tej nowej żonie żaden z nich ani słyszał. Więc król rzecze dalej:

— Nie dziwcie się moi panowie; pojąłem ja dawniej już za małżonkę tę moją Barbarę, lecz nie ukazywałem jej światu, bo wiem że byłby mi może ojciec na to nie zezwolił, jako że Basia nie jest żadną królewną ni księżniczką, jeno polską szlachcianką.

A wtedy jedni z panów jęli szemrać, a inni co życzliwsi prawią:

— Miłościwy panie, wiesz jak my tobie zawsze dobrze życzymy, a i teraz Boga prosić będziemy by wam obojgu błogosławił, jedno nam markotno, żeście to panie tak pokryjomu zrobili, i bez błogosławieństwa ojców waszych.

Tknęło to w serce Augusta, aleć przecie nie tracił nadziei w Bogu, więc też i nie frasobliwy o Jego łaskę niebieską, pojechał do Krakowa na pogrzeb ojca swojego, a ztamtąd ruszył zaraz do miasta *Piotrkowa*, kędy panowie zwołali *sejm*, żeby się naradzić co tu najpilniejszego jest do roboty.

Aliści tymczasem dowiedziała się królowa Bona o tem małżeństwie swojego syna; a że też była kobieta pyszna, a bogactwa i honorów chciwa, tak ją to do żywego obruszyło, że król polski pojął prostą szlachciankę za żonę!

— A co też do niego przystąpiło? czy oszalał czy co? — wołała zaperzona włoszka. — Nadaremnom ja to widzę samemi łakociami karmiła, a między niewiastami chowała! Nie ma w nim krwi królewskiej i mojej książęcej.

Nie spała też chytra białogłowa, lecz dalejże podmawiać panów na swego syna, ażeby go koniecznie z tą szlachcianką rozwiedli; a wszystko im tłumaczyła, że król już sobie ich za nic nie ma, i robi co mu się tylko podoba. Jakoż gadanie takie musiało

nie jednego poruszyć, a cała burza zahuczała dopiero na sejmie w Piotrkowie.

Zebrali się panowie na obrady, a skoro tylko młody Zygmunt August zasiadł na tronie, zarazci wystąpił jeden z panów imieniem *Boratyński*, a w te odezwie się słowa:

— Urodziłeś się wasza Królewska Mość w królewskim domu, do którego nic nigdy nie weszło czegoby ludzie chwalić nie mieli; ojciec wasz miłościwy panie słynął wielkiemi cnoty, a oto teraz jest już różnica między nim a wami. Wzięliście sobie miłościwy panie szlachciankę, a takie małżeństwo między panem a poddaną nie idzie z Boga, bo nie dla siebie, jeno dla dobra kraju królowi żenić się przystoi. Błagamy cię więc miłościwy panie, abyś porzucił Barbarę, a wziął sobie żonę z królewskiego domu, bo tak zawsze u twoich przodków bywało.

Dobrze mówił na one czasy Boratyński, boć wtedy nie mogło się jeszcze ludziom w głowie pomieścić, że każdego człowieka jednako z bolem na ten świat matka rodzi, i że każdy tu z jednej gliny ulepiony i w jeden proch się obróci. Teraz wiedzą już ludzie, że tylko ten kto poczciwy a pobożniejszy, a miłosierniejszy, to więcej ma wagi w niebie i na ziemi; ale w on czas ważyli człeka po majątku i rodzie, więc też im to dziwno było, że się król żeni z poddanką.

Jakoż rozżalił się August na te mowy panów, a tak się odezwie:

— Co się już stało, odstać się nie może. Wam nie przystało prosić mię abym żonie wiarę złamał, bo czybyście mogli wierzyć że ją i wam dochowam? Przysiągłem żonie, tej nie odstąpię, póki mię pan Bóg na świecie zachowa: a milsza mi jest wiara moja, niż wszystkie na świecie królestwa! —

Widząc panowie że król taki stały, nie ranili mu już więcej serca swojemi prośbami, a owszem przystali na to ożenienie, bo też i markotno im było, żeby król miał wiarę łamać. Więc było już wszystko dobrze, jeno co jedna Bona nie mogła się zgodzić, a groziła, że rychlej z kraju wyjedzie, niż coby miała prostą szlachciankę synową swoją nazywać! Prosił król matkę

o przywiązanie ku Barbarze, aleć nic to wszystko nie pomogło, bo na upór włoszki nie było już rady.

Tak więc Barbara gryzła się bardzo owym gniewem swojej świekry, a że też była już mdła i delikatna z urodzenia, toć wnet popadła i w słabość. I tak ukazało się już w tem pokaranie znać boskie, bo nie było błogosławieństwa ojców na onem małżeństwie.

Niezadługo przyszło do koronowania Barbary na polską królowę. A choć coraz słabszą była owa pani, toć przecie posłuszna mężowi, poszła do kościoła, a tam włożył jej arcybiskup koronę na maleńką główkę. Więc potem był już nasz Zygmunt August nad wyraz szczęśliwy, bo widział swoją Basię nietylko żoną lecz i królową obok siebie. Aleć nie długo dał mu się pan Bóg radować.

Wkrótce po koronacyi, położyła się młoda królowa, tak ją osłabiły strapienia i różne boleści. August zasmucony chodził koło swej Basi, zwoływał doktorów, ale nic nie pomagało, jeno coraz gorzej i gorzej.

Raz wchodzi król do komnaty Barbary, a ona bledziutka jak śnieg na twarzy, i uśmiechnięta jak owo dziecię co raj boży we śnie zobaczy. Więc król się do niej po cichu przybliży i pyta:

— Jakże się masz moja Basiu!

A królowa otwarła oczy jak dwie gwiazdy, i szepnie słodkim głosem:

— Dziwnie mi dobrze, mój drogi; już czuję, że niezadługo przyjdzie mi ujrzeć niebiosa, cieszę się, a bierze mię też i trwoga na oną jasność niebieską. Jakaś słodka muzyka leci mi koło uszu, to jakby ostatnie pożegnanie tej marnej ziemi.

Król połykał łzy gorzkie, ale jął cieszyć niebogę:

— Moja Basiu, ty ozdrowiejesz, mnie i krajowi na pociechę.

Ale ona podniosła białą rączkę, i sparła na jego dłoni i szepła jeszcze ciszej:

— Oj, nie żyć mi już więcej z tobą i z moim ludem kochanym. Pamiętajże ty kochać tę naszą ziemię za siebie i za mnie, a bądź jej zawsze dobrotliwym ojcem...

Nie mogła już dłużej mówić młoda królowa; westchnęła tylko kilka razy, i oddała panu Bogu niewinną swą duszę.

Co tam było lamentu i płaczu, to trudno opowiedzieć. Król ponury w boleści nie mógł i słowa wyrzec; a łzy jak dziecku sunęły mu się po twarzy. A skoro ta pierwsza boleść przeminęła, więc zebrał August siła panów i dworzan zamkowych, i tak z wielką wystawą i okazałością odwiózł martwą Barbarę do Wilna, kędy ją pogrzebiono.

Bona przypatrywała się tylko temu, a w duszy była rada że pan Bóg zabrał synowę do siebie. Lecz widać sumienie ją gryzło że to jej wyrzuty i zgryzoty wpędziły młodą królowę do grobu, więc też umyśliła jak przódy, wybrać się z Polski do swych włoskich krajów. Jużci tej tam jej woli nie byłby się nikt sprzeciwiał, boć nawet i syn stracił do matki serce, a Bogiem a prawdą nic tam w Polsce po takiej chytrej Włoszce; lecz skoro panowie zobaczyli, że Bona chce siła skarbów niby to swoich do Włoch zabierać, tak dalejże do króla, a nuż Włoszkę prosić i zaklinać żeby została. Aleć wszystko jeno groch na ścianę: darmo ją zaklinali i prosili, darmo jej grozili, uparta Bona zabrała swoich Włochów i kilkadziesiąt wozów bogactwa, i wyjechała z tem do dawnej swej ojcowizny. Znać zaparło się serce w starej kobiecie, co ani do syna, ani do tej ziemi gdzie mąż jej królował nie czuła żadnej przyjaźni, i tak bez żalu zdołała to wszystko opuścić.

Więc potem został król sam, smutny, bez żony i bez matki, a to go tylko przy życiu utrzymało, że mu została tą ziemia kochana i ten lud boży.

Halczyna śpiewka.

Zosia grzędy w ogródeczku kopie,
Z rozmarynem rutkę sobie sadzi;
Za ogrodem sieje Jaś konopie,
Spiewa sobie, ze Zosią się wadzi :

—Słoneczko na niebie
Jak opatrzność Boska,
A mnie wielka troska,
Bom pokochał ciebie.

A Zosia rączką z twarzy komary odgania:
— Dobrze mi u matusi, nie chcę ja kochania!
A Jasio spracowane ręce sparł na płocie:
— Oj Zosiu, za rok za dwa, a przyjdę ja po cię.

Zrosła rutka nad rozmarynami,
I konopie wyrosło jak świeca;
Jaś do Gdańska pojechał z flisami,
A do Zosi drugi się zaleca.

— Hej płocha dziewczyno,
Czerwona jagodo!
Za wiślaną wodą
Łzy Jasiowe płyną...

I wrócił Jasio wrócił, twarz ma strasznie bladą;
A ludzie ze zrękowin wychodzą gromadą.
Hej Zosia stroi główkę w rozmaryn i róże,
A Jasio na konopnym kołysze się sznurze.

Halka z Podgórza.

Zły syn.

Daleko znali ludzie Stanisława Stępę we wsi Zagórnem. Uczciwą pracą i błogosławieństwem pana Jezusa dorobił się on znacznego majątku. Bo też był z niego człowiek trzeźwy i przykładny, a już nad wyraz sprawiedliwy. U niego było tak: co Bogu to Bogu, a co ludziom to ludziom; aby za życia nie pokazywali palcem złym na niego, a już po śmierci to żeby duszy nie zatracić. Miałci on grunt ładny i zawsze dobrze poorany i zasiany, chałupę oblepioną białą glinką, ładnie ogrodzoną, a stodoła jego taka była, jak nieprzymierzając gumna dworskie lub plebańskie. Był tam i komin w chałupie, i izba jedna bez dymu, i osobna stajenka dla bydełka boskiego i jego, a tak było czysto koło chałupy, w sieni i izbie u niego, żeby tam mógł i pan lub ksiądz siedzieć.

Dochował się Stępa jednego syna, i na tego miało spaść to wielkie gospodarstwo. Aleć wiecie o tem, że nie raz dużo chleba i pieniędzy psuje głupiego; tak też i ten syn nie był

podobny do ojca! Za młodu toć jeszcze jako tako; ale skoro podrósł, to już ojca nie słuchał, czapkę na bakier zawsze nosił, do kościoła chodził bez książki choć umiał czytać i pisać, a już co Niedziela musiał być na muzyce w karczmie, i tracił tam niejeden grosz, co go brał ojcu potajemnie z kaletki u pasa. Płakał na to nieraz stary Stępa, skarżył się przed księdzem i przed panem, ale syn rozkoszny ani słuchał słów ojca ani dbał na jego płacz. Tak też ludzie zaczęli radzić biednemu ojcu, a mówili mu:

— Ożeń go gdzie dobrze, daj mu gospodarstwo, a to go może utrzyma w domu przy pracy, że nie będzie takim hultajem.

Posłuchał stary ojciec, wziął syna na pogwarkę przy matce i sąsiadach, i rzekł mu:

— Jeżeli nie przestaniesz źle robić, to pamiętaj, że mię i matkę do grobu wpędzisz, i ta praca moja pójdzie het w poniewierkę. Aleć umyśliłem ja ożenić cię i zdać na ciebie całe gospodarstwo, a dla nas obojgu starych zostawiam sobie wymowę trzech stajanek, i izdebkę małą i jedną krowinę, abyśmy mieli żyć z czego.

Wtedy sąsiedzi mówili staremu:

— Hej nie róbcież tego Stanisławie, abyście synowi wszystko zdali, bo zobaczycie, że na wielką biedę przyjdziecie.

A stary rzecze:

— Niech się ta dzieje wola pana Jezusa! Przecie mi moje rodne dziecko nie da z głodu umierać i nie wyściga z tej izbiny! — i zapłakał stary na taką swoją mowę.

A matka starucha nic się nie odzywała na to, ale w myśli była rada z tego, że syn się ożeni i przyprowadzi synowę jaką, co im będzie drugiem dzieckiem, a może lepszem od hultaja syna. Boć zwykle bywa, że matka lubi niezmiernie każde swoje dziecko i radaby mu samego nieba nachylić. Więc stary Stępa rzecze wreszcie do niej:

— No matko! jakże wy uważacie, wszak by to nie źle było, gdyby się ożenił nasz syn, a my oboje już sponiewierani robotami, siedzielibyśmy sobie cicho i zajmowali się więcej zbawieniem duszy.

Stara matka kiwła głową na to Jakoż wybrali zaraz dziewkę za żonę przyszłą dla syna, zrobili mu ogromne wesele i sprowadziła się synowa do nowego domu na gospodarstwo.

Ale ktoż tam zgadnąć może, gdzie go co złego spotka? Ta synowa była jeszcze gorszą od swego męża hultaja. Harda strasznie, nie dała nigdy dobrego słowa ojcu i matce, odłączyła ich od stołu swego a rzuciła im najgorszą skrzynię na schowek. Ba więcej! pozabierała im deski złóżka, a wybite okna kazała im szmatami pozatykać, wzięła im kłódkę, którą sobie ojcowie zamykali skrzynię, odmieniła im krowę dając im najgorszą, zabrała im ze skrzyni lepsze chusty dla siebie, a gorsze im pokładła: zgoła była dla nich osą i kosą. A bywało nieraz wieczorami, to tak gada mężowi:

— Oj ty gamoniu, niezdaro! Dałeś starym najlepsze stajanka na wymowę, a sobie wziąłeś gorsze! Oni już stare graty, nie jedzą i nie piją, dla nich tam już mało co potrzeba; weź im tę wymowę, a daj im mniej i w innem miejscu.

I posłuchał mąż i zabrał ojcom wszystko. Lecz owoż na tę krzywdę wielką umarła drugiego tygodnia stara matka ze zgryzoty... Umierając wołała syna, aby poszedł się z nią choć pożegnać, mówiąc doń słodkiemi słowy:

— Chodź dziecko moje; ja się nie gniewam, ja ci daruję, niech ci tego pan Jezus nie pamięta! Chodź, abym cię ostatni raz widziała i pocałowała. Ja na tamtym świecie będę się modlić za was i wasze dzieci!

Poszedł syn do łóżka Stępiny, ale czy żałował starej matenki, to wie sam pan Jezus! Przyszła i synowa, podała rękę, ale zaraz odeszła i mruczała sobie:

— Bodajeście już raz umarli, i to oboje razem!

Umarła stara matka, a dzieci nie dały jej nawet dobrej koszuli do grobu; ze zgniłych okrajków zbili trumnę dla niej i kazali parobkowi wóz złożyć i wywieźć trumnę przed kościoł do pokropienia. A stary ojciec w podartej i brudnej płótniance szedł boso za trumną i płakał i wspominał sobie, jak mu to dobrze radzili sąsiedzi, aby nie zdawał synowi wszystkiego gospodarstwa, ale pamiętał i na swoje stare lata. A wtedy wszyscy ludzie strasznie przepowiadali synowi:

— Tać to musi kiedyś pan Jezus odpłacić taką krzywdę ojca i matki! — mówili — mój Boże! co to się dzieje teraz na świecie, że już nie ma sądu i kary dla takich dzieci! Ale gdzieżby tam pan Jezus zapomniał komu o takich grzechach!

Wrócił parobek z próżnym wozem ze cmętarza, a stary Stępa napłakał się dosyć nad grobem swej starenkiej żony, a dzieci nie szły za trumną; jeno dzwonek mały zadzwonił na kościelnej dzwonicy na wieczny odpoczynek dla nieszczęśliwej matki, a grobarz przywalił grób i było cicho na wsi... Ale w niebie zapisał sobie pan Jezus czerwonemi literami ten pogrzeb na sąd przyszły dla dzieci.

Tak starowina skulony wrócił do swej izby. Żył ci jeszcze dosyć długo, żywił się więcej u dobrych ludzi niż w domu, a niejedna dobra gospodyni wyprała mu i ponaprawiała koszulę grubą, i przenocowała w swoim domu. Boć nad takim staruszkiem każe się pan Jezus miłosierny bardzo litować i pamiętać o nim. I zły syn doczekał się dzieci, aleć tam ojciec niebieski rządzi sercem ludzkiem, nieraz zły ojciec doczeka się dobrych dzieci, a dobry ojciec opłakuje gorzko grzechy złych dzieci. Jużci wina tu i rodziców i ludzi innych, ale zawsze wszystkiem opiekuje się pan Jezus i wie co robi.

Otóż trza było, że starowina rozchorzał raz mocno, ani syn ani synowa nie zazierali tam do jego ciemnej izbiny, starowina leżał na słomie na ziemi, bo po śmierci jego żony zabrał mu syn stare łóżko i kazał się na ziemi poniewierać. Aleć wnuki pilnowały dziadka, donosiły mu chleba, sera, mleka, wody, a wszystko pokryjomu, bo matka krzyczała za to na nich, lecz ów drobiazg nie dbał na krzyki, a w nocy nieodstępował dziadka; od sąsiadów przynosiły mu te dziecięta w garneczkach coś ciepłego, i posługiwały mu ciągle. Dostrzegła to zła matka i nuż radzić mężowi:

— Ot widzisz, widzisz ty drągalu! chłopcy nic nie robią, tylko dziada pilnują, po nocach chodzą, z komory chleb wynoszą, zamiast iść do roboty w pole, to siedzą przy drzwiach izby dziadowskiej, a ty im zato marnego słowa nie powiesz. Każ ztąd wynieść pod stodołę tego dziada, bo mocno stęka i kaszle, że aż do nas słychać.

Więc zawołał ojciec swych dwóch synaczków i tak im rzecze:

— Pomożecie mi dziś wieczorem wynieść dziadka pod stodołę, tam mu będzie lepiej na świeżem powietrzu.

A synaczkowie na to:

— Mój tatusieńku! nie róbcie tego biednemu dziadkowi! Tam mu deszczyk pociecze w same oczy, tam go krowa pobodzie, tam go wiatr odkryje, i jeszcze bardziej będzie kaszleć.

Lecz ojciec tupnął nogą:

— Cicho, trza go wynieść, bo ja i matka nie możemy spać w nocy, tak dziad stęka.

Tak też posłuszne wnuki pomogli wynieść dziadka pod stodołę, a w jego izbinie stanęło teraz młode żrebiątko. Oj płakałże starowina płakał, a gdy usnął, to mu się śniło, że Anieli zbierali mu łzy z jego oczu i przykrywali go skrzydełkami, i przynosili mu posiłek z Nieba, i srebrnym głosem śpiewali mu:

— Nie smuć się staruszku! Ty umrzesz niedługo, ale znoś to cierpliwie, nie przeklinaj dzieci, daruj im to złe, a proś pana Jezusa za temi dziećmi, co ci posługują.

Skoro się staruszek ocucił, to otarł łezki, popatrzał na niebo, przeżegnał się i nie miał urazy do dzieci. Aleć pan Jezus jest zawsze sprawiedliwym! wszystko złe ma swój koniec na świecie! Otoż nagle zachorował i sam gazda domu, ów zły syn Stępy. Zaczął stękać, skarzył się na kolki, i krzyczał od bolu. Więc synaczkowie skoro to ujrzeli, dalejże radzić ojcu, aby się kazał wynieść pod stodołę, koło dziadka na świeży wiatr. A zły syn rozpłakał się wted[illegible] na prawdę i mówił:

— Moje dzieci! nie wyn[illegible]ście mię tam, bo jabym tam jeszcze prędzej umarł, [illegible] wybyście były sierotami!

Na to się od[illegible]ezwało starsze dziecko:

— Mó[illegible]wiliście sami, że tam dziakowi lepiej jak w izbie i kazali[illegible]ście go wynieść? To widać, że wyście nam źle radzili i do śmierci dziadka się przyczynili.

A drugie dziecko rzekło:

— Chodźmy zaraz, wygońmy źrebie z tej izby, a znieśmy tu naszego dziadka! Cóż wy tatusiu każecie nam?

Rozpłakał się chory ojciec, przypomniał sobie wielki grzech i nic nie mówił, a matka zacięta także nic nie rzekła na to, bo sama była w wielkim strachu aby ją pan Jezus nie skarał za krzywdę rodziców. I przynieśli chłopcy dziadusia, położyli na łóżku i chodzili koło obu chorych. Przybył i ksiądz z panem Jezusem do dziadka i ojca. Dziadek darował synowi krzywdę, ale jakże miał zrobić syn z takiemi grzechami? Czy jemu podarował pan Jezus tak, jak dziaduś?

Otoż zobaczycie! Dusze tych dwu stają na sądzie pańskim, bo na ziemi umarł już dziaduś Stępa i gospodarz syn Stępy; o jedną godzinę pierwej umarł ojciec przed synem. Zaczęła teraz zawodzić żale gospodyni, płacze teraz na prawdę, inaczej niż na pogrzebie babki starej, którą zagryzła; została wdową z sierotami, więc tak sobie zawodzi:

— Cóż ja teraz pocznę? może i mnie dzieci wygonią z chałupy, jak ja wyganiałam matkę i ojca? może ja umrę za karę gdzie pod cudzym progiem?

Lecz synowie ją cieszyli, mówiąc:

— Nie płacz matko! my tobie tak nie zrobimy, jak ty naszym dziadkom robiła, boby nas pan Jezus ukarał jak ciebię teraz, że umarł nasz ojciec.

We dwa dni odbył się pogrzeb dziadka i złego syna wraz. Dwa groby stanęły blisko siebie na cmętarzu; spuścili trumny do grobów i rozeszli się ludzie i było cicho. A gdzież to dusze ojca i syna?

Oto patrzcie! Stanął pierwej dziaduś na sąd boży, otoczyli go Anieli, pan Jezus słuchał go, ale dziaduś przed śmiercią darował synowi wszystko, więc nic nie mówił: a skoro życie jego całe była pobożne i dobre, rzekł pan Jezus:

— Weźcież moi Anieli tę duszę dziadusia i zaprowadźcie do Nieba, bo na ziemi żył on uczciwie i wszystkie krzywdy znosił cierpliwie. Tam jest jego żona już dawno.

A teraz przyszła kolej na syna. Już Aniołów nie było przy nim. Otworzył pan Jezus niebieską książkę i czytał, co tam było czerwonemi literami na tego syna zapisane! Straszna godzina, wyrzekł pan Jezus wyrok potępienia; a wtedy dusza dziadusia upadła na kolana przed panem Jezusem i wołała:

— Boże, nie potępiaj mego dziecka, ja mu darowałem!

Ale pan Jezus zawołał Aniołów i powiedział:

— Pokażcie te łzy, które babka i dziaduś wylali po całych nocach na swoje dzieci!

A Anieli przynieśli pełne naczynia wody czyściutkiej, a to były łzy, co wypłakali rodzice z oczu i serca na złe dzieci za życia; a choć one padały na ziemię, choć ją babka i dziaduś suchą ręką ocierali z oka, choć nieraz udusili w sobie i niewypłakali: toć przecie żadnej tam nie zabrakło w niebie! I niepomogły prośby! Rozłączył się dziaduś od syna na wieki! Dusza jedna szła złotą drogą do Nieba, a druga szerokim gościńcem do piekła, i płakali oba oglądając się na siebie. Dziadusiowi żal było syna, a syn drżał na wyrok potępienia. I wnet zaparły się bramy Nieba i piekła.

Miłujcie wy dziateczki rodziców i dziadków waszych, aby was także i pan Bóg miłował, a przyjął po śmierci do nieba!

Ks. Wojciech z Medyki.

Ciekawy Wojtuś.

Gołębie.

Było to jakoś koło południa, kiedy Wojtuś przyszedł do domu ze szkoły, a twarz miał uśmiechniętą, i chował coś pod kapotką.

— I cóżeś ty taki wesoły? — zapytał pan rymarz Walenty chłopca, skoro tylko weszedł do izby.

— A, bom coś dostał — rzecze Wojtuś.

— No, no, cóż takiego?

— A niech tatuś zgadnie!

— Eh, durny jesteś chłopcze — rzekł pan Walenty krzątając się koło swej roboty. — Nie mam czasu zgadywać.

— No, to wam pokażę — rzekł Wojtuś, i wyciągnął z pod kapotki ładnego gołębia z czubkiem.

— Od kogoż to? — zagadnął ojciec poglądając na synogarlicę.

— Darował mi organista, zato że mu czasem pomagam śpiewać na chórze — odrzekł Wojtuś całując w głowę gołębia

— A wieleż będzie teraz wszystkich?

— Pięć będzie mój tatusiu!

— Ha, to nic potem — rzeknie pan rymarz — bo gołębie powinny być zawsze do pary.

— A czemuż to mój tatusiu?

— Długo to gadać mój chłopcze; aleć prawie została godzina do obiadu, a ja moją robotę skończyłem, to ci jeszcze mogę opowiedzieć. Idź puść gołębia do drugich, a sam wracaj chyżo.

Zwinął się Wojtuś duchem, i za chwilkę był już z powrotem w izbie; więc ojciec usiadł i tak jął prawić:

— Jużci najzabawniejszym ptakiem z tych wszystkich, co się wedle domu chowają, jest gołąb. Pociecha jest patrzeć jak gołębie sobie leciutko i wspaniale latają, a czasem i figle w locie wyrabiają, boś przecie nieraz widział, jak to twój ten czerwony w powietrzu koziołki wywraca. Chętnie one trzymają się domu, ale tylko gromadą, bo to już taka ich natura, że po osobności żyć nie mogą. Także musi ich być zawsze do pary, bo tam każdy samczyk ma swoją samiczkę, i żyją zgoła tak jak mąż z żoną, a nie jak inne ptaki, nieprzymierzając wróble, co się różnie między sobą gnieżdżą. A widać że to już tak pan Bóg chce, aby gołębie złym ludziom na przykład, parami zgodnie i w przyjaźni żyły, bo samiczka znosi zwykle dwa jaja naraz, z których się znowu para: samiec i samica wylęga.

Skoro samica z gniazda jeść zleci, to ją co tchu wyręcza samiec a sam siada, żeby się gniazdo nie wyziębiło; a jak tylko wylęgnie się owa parka, tak oboje stają zaraz do siebie dzióbkami, zgoła jak kochające się rodzeństwo. Jeżeli zaś trafi się przypadkiem że z dwóch jaj dwa samce lub dwie samiczki się wykłują, tak ów drobiazg siada w jedną stronę dzióbkami obrócony, pczem taką niedobrą parę zaraz poznać można.

— A czy to wszystko jedno dzikie gołębie a nasze? — zapytał ciekawie Wojtuś.

— A jakżeś chciał? Musi być wszystko jedno, bo z dzikich gołębi przyswoił sobie człowiek domowe. Ta jest tylko różnica między niemi, że przy domu często różne rodzaje gołębi ze sobą żyją, więc też i różne ztąd wychodzą; białe, brunatne,

czarne także i nakrapiane; zaś między gołębiami dzikiemi zwykle jest jeden do drugiego podobny. Te co po skałach i starych rozwalinach żyją, mają podgarle błyszczące, jakby stalowe, spodem nieco białe, a przez skrzydła dwie czarne prążki; zaś owe co się po lasach gnieżdżą, są niebieskawo-popielate, pierś mają winnego koloru, a zielonawo połyskają na podgarlu i po bokach szyi. Między naszemi domowemi gołębiami rozróżniają: *garłacze, bębenki, grzywacze* i inne. Niektóre z nich są bardzo sprytne; trafiło się że gołębiowi przywieszono list na szyi, a on go het daleko, z jednego miejsca na drugi przenosił. Co największym z naszych dzikich gołębi jest *głuszec*; będzie on przeszło łokieć długi, pierze na sobie ma przeważnie czarne, jeno po bokach szyi dwie białe plamy, a główne piórka także z białemi brzeżkami. Żyje on w górzystych lasach, a pączki z drzew najlepiej mu smakują. Mięso z tych dzikich gołębi bardzo jest wyborne.

Przerwał tu Walenty, bo żona zaglądnęła do izby, a zawołała do jedzenia. Więc pan rymarz podniósł się ze zydla i śmiejąc się, rzecze do Wojtusia:

—No, chodźmy jeść mój chłopcze. Nie będzie tam dzikich gołębi, ale kasza nasza także jest zdrowa i dobrze smakuje! Po objedzie będzie chwilka czasu, to ci jeszcze opowiem ciekawe rzeczy o innych gołębiach, co na drugim końcu świata w *Ameryce* żyją.

Ruszył ojciec naprzód, a syn za nim, ciesząc się i skacząc, że znowu coś ładnego po obiedzie usłyszy.

Co zaś Walenty po jedzeniu opowiadał, to wam i ja za drugą razą powtórzę.

Pogadanka wiejska.

Wojciech. Już to mnie najgorzej na świecie; nic człowieka nie cieszy, wszystko nie tak jakby pragnął.

Józef. Ej! Wojciechu nie grzeszcie, nie ma tam u was wielkiego państwa to prawda, ale wielu ludziom gorzej od was.

Wojciech. Albo to prawda.

Józef. Macie żonę poczciwą, macie dobre dziatki.

Wojciech. No, ani gadania że i żony drugiej takiej nie znajdzie, i dziatki dobre, niech im Bóg błogosławi.

Józef. A widzicie, a wieluż jest takich, co i żona niepoń i dzieci hultaje.

Wojciech. No to prawda, ale oprócz tego to wszystko lepiej u ludzi.

Józef. Pracujecie poczciwie, więc chleba wam Bogu dzięki nigdy nie brakuje, a u drugich to taka nieraz bieda, że siekierę by na niej zawiesił.

Wojciech. A bo próżniaki! hultaje! U nas chleba dosyć, tylko mało ochoty do pracy.

Józef. Macie zdrowie mój Wojciechu, i chałupa wasza nie zna co choroba.

Wojciech. To też tylko tyle mego bogactwa, a zresztą wszystko lepiej u ludzi.

Józef. Ej! nie grzeszcie mój Wojciechu, bo i ja kiedyś tak jak wy mówiłem, i z tego wyrzekania tak straciłem ochotę do wszystkiego, że mi się nic nie chciało, tylko zawsze wyrzekałem i wyrzekałem. Wtedy dopiero przyszła na mnie prawdziwa bieda, tak że buty z nóg zleciały, bo nie było drugich za co kupić, a że wypadło mi iść w drogę, więc nie było rady i wybrałem się na bosaka. Pamiętam jak dziś, było to jesienią, rano nawet chwytały przymrozki, i droga zmarznięta bryłami kłuła jak szpilkami. Krzywiłem się więc, kurczyłem, wyrzekałem, bo nogi od podeszew kłuło a z wierzchu mroziło, ale nie było rady; interes był pilny, trzeba było dalej bosakiem się obchodzić. Wtenczas dopiero jużem był pewny, że nie ma nieszczęśliwszego człowieka nademnie, bo przy bosaku jak się domyślicie, było głodno w brzuchu, chłodno na grzbiecie, a pusto w kieszeni. Więc idę, idę i stękam i płaczę nawet, i tak dowlekłem się do miasteczka, i kiedym chciał wejść do kościoła, patrzę, a tu siedzi na drodze jakiś ubogi i nie ma nóg tylko szczudła. Oj! zaraz umilkłem, bo przekonałem się dowodnie, że są jeszcze nieszczęśliwsi odemnie. Na pamiątkę tego nauczyłem się małej bajeczki, którą wam powtórzę i radzę się nauczyć.

Podróżny i kaleka.

Nie skarżyłem na ludzi, nie skarżyłem na losy,
Choć musiałem iść w drogę ubogi i bosy,
W tem gdy razu jednego do Kościoła wchodzę,
Postrzegłem, leży żebrak bez nogi na drodze.
Nauczył mię tem bardziej milczeć ów ubogi,
Lepiej mnie bez obówia, jak jemu bez nogi.

Od tego czasu mój Wojciechu, zaprzestałem narzekania a chwyciłem się pracy, i Bogu dzięki ani chleba, ani grosza, nigdy nie brakuje. Tak i wy mój Wojciechu nie narzekajcie, tylko pracujcie i nie patrzcie na tych ludzi co im się lepiej od was dzieje, ale na takich, co im gorzej na świecie.

Wojciech. Ha! — może i przy was prawda mój Józefie, więc sprobuje.

Józef. Sprobujcie, sprobujcie, a zaręczam, że kiedyś mi podziękujecie za poczciwą radę.

(*Km.*)

Zdania z pisma świętego.

Temu, kto się pana boi, będzie się dobrze działo na ostatku, a w dzień śmierci swej będzie błogosławiony.

Sześć rzeczy jest, których nienawidzi Pan, a siódmą brzydzi się dusza jego: oczu wyniosłych, języka kłamliwego, ręką przelewających krew niewinną, serca wymyślającego myśli złośliwe, nóg prędkich na bieżenie ku złemu, świadka fałszywego, który mówi kłamstwo, i tego, który sieje rozterki między bracią. Bojaźń pańska nienawidzi złości; pychą i hardością i drogą złą, i usty dwujęzycznemi brzydzi się.

Zdania moralne.

Zacznij z Bogiem, bo bez Boga, jest niepewna każda droga.
Kto się zdał na wolę Bożą, tego piekła nie zatrwożą.
Pamięć tego nie umiera, kto biednemu łzy ociera.
Co nas cieszy, co nas boli, wszystko to jest z Bożej woli.
Kłamca ma za kłamstwo karę, że na zawsze traci wiarę.
Językiem ludzi obędziesz, lecz sumienia nie pozbędziesz.
Kto na małem nie przestaje, temu zawsze nie dostaje.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.